

665

— Często spotykam się z opinią głoszącą, że samopoczucie aktorek jest gorsze od samopoczucia ich kolegów występujących na scenie. Mówi się, że w pewnym momencie brakuje dla nich ról, które mogłyby im dać pełne zadowolenie. Czy pani podziela ten pogląd?

KRYSTYNA JANDA: — Proporcje są zachwiane. Rzeczywiście, w literaturze dramatycznej jest o wiele więcej ról męskich, kobietom w najlepszym przypadku pozostają role amantek, potem zaczynają się problemy...

— ... które akurat pani nie dotyczą. Proszę mi zatem powiedzieć, czy często w środowisku aktorskim spotyka się pani z przejawami zazdrości zawodowej?

— Tak. Często. Nie chcę na ten temat mówić

— Myślałem, że zdarza się to tylko na prowincji.

— Przekonuje się pan, że jest inaczej.

— Co, pani zdaniem, wyróżnia bieżące życie teatralne?

— Myślę, że rodzi się „czas aktorów”. Coraz częściej chodzi się do teatru nie na sztukę, lecz na aktora, na nazwisko. Tej sytuacji jednak nie wykorzystuje reklama. Jeszcze gorzej rzecz się ma z promocją filmów polskich, z reklamą nazwisk. Miałam wiele razy okazję przekonać się, jak robi się to na Zachodzie. Tam nie do pojęcia byłaby sytuacja, w której reklamowano by film z pominięciem aktora. We Francji na przykład istnieje lista aktorów nie tyle najlepiej zarabiających, czy najbardziej popularnych, ile przynoszących producentowi największe zyski. To prawda, że ostatnio i u nas próbuje się rozwijać reklamę, wprowadzać konkurencję, opierać kulturę na zasadach ekonomii. To bardzo ważne, bo skoro nie mamy dostatecznej ilości pieniędzy na kulturę, trzeba szukać jakiegoś ratunku.

— Ale to grozi komercjalizacją.

— Nie. W Polsce istnieje tak wiele zależności między tzw. polityką kulturalną, cenzurą i sposobami finansowania, że problem komercjalizacji w znaczeniu zachodnim nie istnieje.

— Gdy osiągnie się nieklamany i niepodważalny sukces, który przecież stał się pani udziałem, to jaką linię myślenia i działania trzeba wtedy przyjąć? Dbać o to, by nie rozminąć na drobne zdobytego prestiżu i uznania? Piąć się ciągle w górę? Jak długo?

— Zadawałam sobie te pytania. Myślę, że mam do tego trzeźwy i racjonalny stosunek. Przede wszystkim rozważyć należy, co oznacza słowo sukces. Ja „sukces” odniosłam w pierwszym swoim filmie. Agnieszka z „Człowieka z marmuru” pozostała w świadomości ludzi. Janusz Głowacki mówił mi wtedy, że właściwie to nie muszę już nic robić, bo na notkę biograficzną i tak już zapracowałam, gdyż film ten — wiadomo — był tak ważny i potrzebny, że nikt go już nie wykreślił. Nie rozumiałam wówczas tych słów. Potem przyszło dwanaście lat ciężkiej pracy, w ciągu których nakręciłam czterdzieści filmów. Słowo „sukces” nabrało innego znaczenia i wymiaru. Powiedziałam kiedyś, że czekam na taki dzień, w którym publiczność oglądając mój film ulegnie tak gwałtownym uczuciom, że będzie płakać. I doczekałam się (...)

— I to był ten prawdziwy sukces.

— Tak, bo nie warto myśleć o sukcesie w kategoriach komercyjnych. Telewizja, w ogóle — cały ten system windowania nazwisk jest brutalny i bezwzględny. Cztery lata temu uparcie lansowano nowe twarze i nazwiska po to tylko, by potem przekonać się, że prawie nic z tego nie zostało. I oczywiście nie ci młodzi

ludzie byli temu winni. Chodziło o wymianę nazwisk, o stworzenie nowych, „grzeczniejszych” gwiazd. Mnie próbowano zastąpić Dorotą Stalińską, ale Dorota jest po prostu dobrą aktorką, wewnętrznym ciekawym i niespokojnym człowiekiem, który idzie własną drogą. Ma ogromną osobowość, zupełnie różną od mojej. I dlatego jest dla nas obu miejsce. Ale wielu innym osobom zrobiono po prostu krzywdę.

— Jak się zatem bronić przed działaniem tych skomplikowanych mechanizmów?

— Trzeba pracować świadomie i z głęboką wiarą w sens tego, co się robi. Staram się, by mnie te mechanizmy nie dotyczyły. Interesuje mnie już tylko co mam grać i jak grać, by poruszyć wrażliwość i inteligencję widza. Skupiam się tylko na środkach aktorskich, w tym kierunku idą moje poszukiwania. Dlatego tak bardzo chciałabym wiedzieć, jaka jest dzisiejsza publiczność, czego naprawdę oczekuje, co trzeba zrobić w kinie czy teatrze, by widz nie pozostał obojętny. Stoję właśnie przed bardzo trudnym zadaniem aktorskim i będę musiała znaleźć odpowiedź na te pytania. Pracuję w teatrze nad rolą Medei, rolą bardzo rzadko grywaną na naszych scenach. Jak pokazać tę okrutną kobietę, której moralność nie ma nic wspólnego z naszymi systemami wartości? Jakich środków użyć, by przekonać publiczność? Wybrałam tę rolę dlatego, że jest tak trudna



Zdjęcie: CAF — Hawalej

Z KRYSTYNĄ JANDĄ

aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

Jedni mnie kochają drudzy nienawidzą

Nie interesuje mnie powtarzanie łatwych sukcesów, kokietowanie publiczności reklamą, które muszą się udać. Jak można mówić o mnie, a tak chcą niektórzy, jak o wielkiej aktorce, skoro ja nigdy nie dotknęłam antyku, skoro nigdy nie mówiłam wiersza szekspirowskiego? To nowe pole doświadczeń, z którym muszę się zmierzyć.

— Rozumiem więc, że częściej będziemy teraz oglądali panią na scenie.

— Tak. Chciałabym bardzo grać jak najwięcej w teatrze. Przeniosłam się do Teatru Powszechnego, ponieważ jego program artystyczny po prostu mi odpowiada. Mam nadzieję, że uda mi się zagrać w Szekspirze. Oczywiście, nie oznacza to zerwania z filmem. Niedługo wyjeżdżam na cztery miesiące do Ameryki, by dokończyć film kręcący wcześniej w Europie. Jest to zachodnioloniemiecki „Dziki Zachód wliczony w koszt”. Potem czekać będę na rozpoczęcie zdjęć do dziewięcioczęściowego serialu o Helenie Modrzejewskiej, który reżyserować będzie Jan Łomnicki. Od dawna nie czytałam tak wspaniałego scenariusza. Intrygujący jest temat: byliby to film o ogromnej samotności w sztuce, pokazujący jednocześnie wielkość Modrzejewskiej jako człowieka i jako aktorki. Mam nadzieję, że dojdzie do jego realizacji. Jest to film kosztowny. Władze zdecydowały, czy warto te pieniądze wydać.

— Profesję aktora określa to, iż musi się on ciągle starać, by podobać się widzom. To sytuacja niewesoła, gdy porównać ją ze statusem malarza, który stając przed płótnem nie myśli o publiczności, bądź poety, który może dumnie włożyć wiersz do szuflady. Aktor nie może po-

zwolić sobie na takie artystowskie gesty, bo jest zmuszony — jak to ktoś nielegalnie określił — kupczyć swym ciałem...

— ... i duszą.

— No właśnie. Świadomość tego może nie jest deprymująca, gdy jest się kobietą?

— To tak często bywa — aktorzy przekroczywszy trzydziestkę wpadają w kryzys, wydaje im się, że udawanie kogoś na scenie czy w filmie to rzecz jakby trochę niepoważna. Wszystkie te wątpliwości kończą się, bądź nie rodzą się wcale, gdy aktor wie dlaczego wykonuje ten zawód. Kryzysy powstają wtedy, gdy aktor nie wie co chce powiedzieć, bądź wątpi w to co mówi. W moim przypadku tak doszło do siebie, o co mi chodzi. To jest chyba kwestia potrzeby kontaktu z widzami, którą się odczuwa bądź nie.

— Czy daje to szczęście?

— Myślę, że tak. Nie zamieniłabym tego zawodu na żaden inny.

— Z badań socjologicznych wynika, że zawód aktora otaczany jest w Polsce bardzo wysokim prestiżem społecznym. Pani znajduje się na szczycie tej hierarchii. Czy trudno dźwigać taki ciężar? Czy nie ma on wpływu na pani życie prywatne?

— Nie. Jestem tak zapracowana, że nie mam okazji, jak się to określa, bywać. Mam dom, rodzinę, rodziców, grono przyjaciółek i paru ludzi, do których mogę zadzwonić, gdy muszę rozstrzygnąć jakiegoś problemu zawodowego. To wszystko. Niekiedy moje słowa, gdzieś tam wypowiedziane prywatnie, krążą potem i wracają

do mnie zdeformowane. To bywa bolesne gdyż wykorzystuje się je przeciwko mnie.

— A więc popularność jest jednak ciężarem?

— No, tak... Jestem przecież tylko człowiekiem, popełniam błędy, czasem coś palnę... Muszę uważać na to co mówię, bo zdarzało się już, że jakiegoś tam moje prywatne wypowiedzi przenikają potem nawet do wywiadów prasowych.

— A propos — czy bardzo przejmują się pani tym, co o pani piszą krytycy i dziennikarze?

— Tak. Staram się czytać wszystko, bo uważam za cnotę umiejętność słuchania innych. W kraju różnie się o mnie pisze: głosy entuzjastyczne, od których można dostać zawrotu głowy, kontrastują z ostrymi paszkwilami. Jedni mnie kochają — drudzy nienawidzą. Inaczej jest na Zachodzie — tam traktuje się mnie poważnie i w związku z tym opinie nie są takie histeryczne, nie ma takiej huśtawki nastrojów.

— Czy dba pani o to, by role filmowe budowały jednolity obraz Krystyny Jandy, łatwo rozpoznawalne emploty?

— Nie. Coraz chętniej sięgam po role, w których przekraczam poprzednie. Myślę, że w związku z tym pewnym zaskoczeniem będzie „Czas kary” Waldemara Krzystka, gdzie gram z Jerzym Radziwiłowiczem. Film jest już po kolaudacji. To zupełnie nowe doświadczenie aktorskie. Rzecz opowiada o kobiecie, która w czasach stalinowskich przez pięć lat ukrywała AK-owca skazanego na śmierć.

— Przyzwyczailiśmy się do tego, że gra pani osoby żywiołowe, pełne temperamentu.

— W tym filmie będzie zupełnie inaczej. Mam nadzieję, że dzieło to okaże się ważne i w związku z tym rola będzie zauważona.

— Ale na co dzień, to chyba pani pewności siebie nie brakuje?

— Tak, ale tylko wtedy, gdy na planie filmowym bądź na scenie dojdę do własnej prawdy. Kiedy mam wątpliwość, z pokorą słucham reżyserów, którzy jednak muszą przekonać mnie, że to oni mają rację.

— To chyba prowadzi do konfliktów?

— Nie, bo nigdy nie przeradza się to w kłótnię, lecz w spór. A to jest twórcze. Zresztą z wszystkimi reżyserami, z którymi pracowałam pozostaję w przyjaźni. I wszyscy oni deklarują zwykle, że chcieliby jeszcze nakręcić ze mną jakiś film.

— Czy rzeczywiście różnice w sposobie robienia filmów w Polsce i za granicą są tak wielkie?

— Ogromne, i w ogóle nie ma o czym mówić. A jednak wolę pracować w Polsce.

— Dlaczego?

— Tu się lepiej porozumiewam. I nie chodzi mi o bariery językowe. W Polsce wiem, z kim pracuję i dla kogo. Tu wszyscy chodziliśmy do tych samych szkół, czytaliśmy te same książki, babcie opowiadały nam te same bajki, a telewizja pokazywała ten sam dziennik.

— Jestem pod głębokim wrażeniem premiejowej „Białej bluzki” jednoosobowego spektaklu zrobionego przez Magdę Umer na podstawie opowiadania Agnieszki Osieckiej. Gdzie jeszcze będzie to pani grała?

— Jest pomysł, by pojechać z tym spektaklem w Polskę. Nigdy dotąd tego nie robiłam. Myślę, że będzie to ciekawe doświadczenie. Zasada jest jedna — miasta wojewódzkie i dobre sale.

— I jeszcze jedno. Celowo nie kierowałam rozmowy w stronę pani filmów robionych w Europie, bo chyba niewiele z nich jest znanych w Polsce.

— Żaden.

— I co pani na to?

— Trudno.

— No tak trudno. Dziękuję za rozmowę.